

Norman Spinrad  
Carcinoma Angels  
Aniołowie Raka

W wieku dziewięciu lat Harrison Wintergreen po raz pierwszy odkrył, że świat jest jego ostrygą, gdy spojrzeć na niego z boku. Miało to miejsce tego roku, kiedy w modzie były karty z bejsbolistami. Dzieciak z największą kolekcją kart uchodził za mistrza. Harry Wintergreen postanowił zostać mistrzem.

Harry uciułał dolara i kupił sto kart jak leci, bez wybierania. Miał szczęście, bo wśród nich trafił się bardzo rzadki Yogi Berra. W trzech różnych transakcjach wymienił pozostałe dziewięćdziesiąt dziewięć kart na jedyne pozostałe w okolicy trzy Yogi Berry. Zredukował swój stan posiadania do czterech kart, ale zdobył wyłączność na Yogi Berrę. Wywindował jego cenę na niebotyczny pułap osiemdziesięciu kart za sztukę. Dzięki zgromadzonemu w ten sposób tajemnemu funduszowi udało mu się zmonopolizować rynek Mickeya Mantle'a, Willy Maysa i Pee Wee Reese'a i zostać J. P. Morganem, potentatem kart bejsbolowych.

Harry prześliznął się przez szkołę średnią dzięki prostemu zabiegowi, polegającemu na mistrzowskim opanowaniu jednego przedmiotu — sztuki ściągania. W ciągu lat nauki udało mu się wyprowadzić w pole każdego autora testu i z dziecinną łatwością zdobyć siedem stypendiów.

Na studiach Harry odkrył dziewczyny. Będąc względnie przystojny i względnie niewymagający, w normalnym biegu wypadków dokonałby wielu podbojów. Ale umysł Harrisona Wintergreena nie pracował w normalny sposób.

Harry z pietyzmem kultywował jąkanie i w zależności od sytuacji mówił płynnie lub zaciął się wzruszająco. Niewiele dziewcząt mogło oprzeć się pokusie, jaką stanowił przystojny, oblatany i sprytny facet z tajemniczą wewnętrzną raną, która przyprawiała go o wadę wymowy. Wiele dziewczyn próbowało zgłębić sekret Harry'ego, podczas gdy Harry eksplorował dogłębnie dziewczyny.

Na drugim roku Harry znudził się studiami i doszedł do wniosku, że zostanie Obrzydliwie Bogaty. Przez miesiąc pilnie studiował powieści erotyczne, w ciągu następnych dwóch napisał trzy własne i z miejsca sprzedał je po 1.000\$ za sztukę.

Za zarobione 3.000\$ kupił błyszczący nowy kabriolet. Pojechał nim na meksykańską granicę do powszechnie znanego przygranicznego miasta. Bezwzględnie skontaktował się z pucybutem o wątpliwej reputacji i kupił funt marihuany. Pucybut rzecz jasna dał cynk straży granicznej i kiedy Harry próbował wrócić przez most do Stanów, rozebrali go do naga.

Niczego nie znaleźli i Harry bez przeszkód przekroczył granicę. Nie przeszmutłował absolutnie nic z Meksyku; gwoli ścisłości, marihuanę wyrzucił zaraz po zakupieniu.

Odniósł jednakże wymierną korzyść z meksykańskiego embarga na amerykańskie samochody, sprzedając kabriolet na lewo za 15.000\$.

Harry zabrał uzyskane 15.000\$ do Las Vegas i przez sześć tygodni stawiał ludziom drinki, pożyczał splekowanym graczom pieniądze i generalnie odgrywał rolę świętego Mikołaja o policzkach porośniętych młodzieńczym meszkiem, wkradając się w łaski właściwych pijaków i przepuszczając 5.000\$.

Pod koniec szóstego tygodnia miał trzy poufne informacje giełdowe, dzięki którym w ciągu dwóch miesięcy pozostałe 10.000\$ rozmnożyło się w 40.000\$.

Harry kupił czterysta złomowanych jeepów z nadwyżek rządowych w czterech partiach po 10.000\$ za setkę i natychmiast odsprzedał je pewnemu wysoce podejrzanemu rządowi z Ameryki Środkowej za 100.000\$.

Wziął 100.000\$ i kupił maleńką wysepkę na Pacyfiku, tak bezwartościową, że żaden rząd nigdy nie wysunął do niej roszczeń. Zainstalował się jako niezależny rząd bez podatków i sprzedał dwadzieścia akrowych działek dwudziestu milionerom szukającym rajy

podatkowego po 100.000\$ za działkę. Trzy tygodnie po pozbyciu się ostatniej z nich, Stany Zjednoczone z poparciem ONZ zawłaszczyły wysepkę i oddały ją pod kontrolę Urzędu Skarbowego.

Harry zainwestował niewielką część ze swoich 2.000.000\$ i na dwanaście godzin wypożyczył wielki komputer. Komputer opracował system typowania, dzięki któremu Harry rozmnożył 2.000.000\$ w 20.000.000\$, wyciągając z różnych angielskich totalizatorów sportowych w sumie 18.000.000\$.

Za 5.000.000\$ kupił od zubożałego arabskiego sułtanatu wielgachny kawał jałowej pustyni. 2.000.000\$ zapłacił za szeroko zakrojoną kampanią informacyjną, która wmówiła światu, że ta część pustyni dosłownie pływa na ropie. Za następne 3.000.000\$ założył fikcyjną korporację, która udawała wielkie towarzystwo naftowe i publicznie zaproponowała mu kupno jego pustyni za 75.000.000\$. Po zażartej licytacji marionetkowa firma ustąpiła placu wielkiej amerykańskiej spółce naftowej, która za 100.000.000\$ stała się właścicielem tysiąca mil kwadratowych piasku.

I tak oto Harrison Wintergreen w wieku dwudziestu pięciu lat został Obrzydliwie Bogaty. Stracił zainteresowanie pieniędzmi.

Teraz zdecydował, że chce Czynić Dobro. Czynił Dobro. Obalił siedem niesympatycznych rządów latynoamerykańskich, zastępując je sześcioma socjaldemokracjami i jedną dobrotliwą dyktaturą. Nawrócił plemię łowców głów z Borneo na różokrzyżowstwo. Założył dwanaście domów spokojnej starości dla dziwek, które wypadły z obiegu i zorganizował program kontroli urodzin, który polegał na wysterylizowaniu dwunastu milionów płodnych Hindusek. Znalazł sposób, by na powyższych przedsięwzięciach zarobić kolejne 100.000.000\$.

W wieku trzydziestu lat Harrison Wintergreen dał sobie spokój z Dobroczynieniem.

Postanowił Zostawić Ślady Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Zostawił Ślady Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Napisał powieść o królu Faruku, która zyskała międzynarodowy poklask.

Wynalazł filtr Wintergreena, membranę przepuszczającą słodką wodę, ale nie przepuszczającą soli. Jego Zakłady Odsalania Wody mogły odsalać nieograniczoną ilość wody, przy czym koszt odsolenia jednego galona był bliski zera absolutnego. Harry namalował jeden obraz i natychmiast zaproponowano mu za niego 200.000\$. Podarował go Muzeum Sztuki Współczesnej, gratis. Wyhodował zmutowanego wirusa, który niszczył bakterię syfilisu. Jak syfilis, wirus przenosił się drogą płciową. Był umiarkowanie łagodnym afrodyzjakiem. Syfilis został wyeliminowany w ciągu osiemnastu miesięcy. Harry kupił wyspę niedaleko wybrzeża Kalifornii, skałę sterczącą na pięćset stóp z Pacyfiku. Kazał z niej wyrzeźbić wysoki na pięćset stóp posąg Harrisona Wintergreena.

W wieku trzydziestu ośmiu lat Harrison Wintergreen Zostawił wystarczająco dużo Śladów Swoich Stóp na Piaskach Czasu. Był znudzony. Rozglądał się zachłannie za nowymi światami do podbicia.

I ten oto człowiek w wieku czterdziestu lat dowiedział się, że jest nieuleczalnie chory na raka. Pozostał mu rok życia.

Wintergreen spędził pierwszy miesiąc ostatniego roku życia na poszukiwaniu lekarstwa na terminalnego raka. Odwiedzał laboratoria, uczelnie medyczne, szpitale, kliniki, Wielkich Doktorów, znachorów, cudownych ozdrowieńców, uzdrowicieli wiarą i Małe Stare Panie w Tenisówkach. Nikt nie znał lekarstwa na stadium terminalne raka, cieszącego się poważaniem czy wręcz przeciwnie. Tak podejrzewał i mniej więcej taką miał nadzieję. Nie miał innego wyjścia, jak samemu zmierzyć się z problemem.

Przez następny miesiąc przygotowywał wszystko, by samemu zmierzyć się z problemem. Kazał wznieść na środku pustyni w Arizonie klimatyzowaną, otoczoną murem willę. W willi była całkowicie zautomatyzowana kuchnia z zapasem jedzenia na rok. Było laboratorium biologiczne i biochemiczne warte 5.000.000\$. Była biblioteka mikrofilmów wartości

3.000.000\$, zawierająca wszystko, co do słowa, co kiedykolwiek napisano na temat raka. Była apteka, która zaćmiewała inne apteki szerokim asortymentem dosłownie wszystkich istniejących leków, łącznie z truciznami, środkami przeciwbólowymi, halucynogenami, dandrycydami, antyseptykami, antybiotykami, czynnikami wirusobójczymi, prozskami na ból głowy, heroiną, chininą, kurarą, cudownymi miksturami na łupież i na porost włosów. Apteka kosztowała 20.000.000\$.

W willi znajdował się również radiotelefon jednokierunkowy, wielki zapas podstawowych związków chemicznych, łącznie z promieniotwórczymi, Koran, Biblia, Tora, Księga Umarłych, Nauka i zdrowie z kluczem do Pisma Świętego, I Ching oraz dzieła wszystkie Wilhelma Reicha i Aldousa Huxleya. Był też wielki i ultradrogi komputer. Nim willa została ostatecznie przygotowana, fundusz Wintergreena na drobne wydatki skurczył się niemal do zera.

Mając dziesięć miesięcy na zrobienie tego, co świat medyczny uważał za niemożliwe, Harrison Wintergreen wszedł do swojej cytadeli.

W czasie pierwszych dwóch miesięcy przekopywał się przez bibliotekę, śpiąc trzy godziny na dobę i faszując się regularnie amfetaminą. Biblioteka nie miała do zaoferowania niczego oprócz danych. Przetrawił dane i przeszedł do apteki.

W ciągu następnego miesiąca wypróbował chlorotetracyklinę, bacytracynę, fluorek cynawy, heksylrezolcynę, kortyzon, penicylinę, sześciochlorofinę, ekstrakt z wątroby rekina i 7312 innych wybranych cudów współczesnych nauk medycznych, wszystkie bez rezultatu. Zaczął odczuwać ból, który natychmiast uśmierzył i odtąd stale uśmierzał morfina. Uzależnienie od morfiny było pomniejszym utrapieniem.

Przetestował różne chemikalia, substancje promieniotwórcze, czynniki wirusobójcze, naukę chrześcijańską, jogę, modlitwę, lewatywę, specyfiki, herbatę ziołową, czary i dietę jogurtową. To pochłonęło kolejny miesiąc, w czasie którego kontynuował wyniszczanie organizmu, śpiąc coraz mniej, za to biorąc coraz więcej amfetaminy i morfiny. Nic nie działało. Zostało mu sześć miesięcy.

Balansował na krawędzi rozpacz. Zmienił taktykę. Usiadł w wygodnym fotelu i przez czterdzieści osiem godzin non stop kontemplował własny pępek.

Medytacje zaowocowały ciężkim przypadkiem przemęczenia oczu i dwoma znaczącymi słowami: „spontaniczna remisja”.

W ciągu dwóch miesięcy badań Wintergreen natknął się na liczne przypadki, gdy rak nagle cofał się i pacjent, który nie rokował nadziei, wracał do zdrowia. Nikt nie wiedział jak, ani dlaczego. Zjawiska tego nie można było przewidzieć, nie można było sztucznie wywołać, ale tym niemniej występowało. Z braku lepszego wyjaśnienia nazwano je remisją spontaniczną. „Remisja” oznaczała wyleczenie. Określenie „spontaniczna” oznaczało, że nikt nie wiedział, co ją powoduje.

Co nie znaczy, że przyczyna nie istniała.

Wintergreen był dobrej myśli; mało tego — wpadł w euforię. Wiedział, że niektórzy śmiertelnie chorzy na raka wrócili do zdrowia. Tym samym rak terminalny mógł zostać wyleczony. Tym samym problem został przeniesiony z królestwa niemożliwości do domeny wysokiego nieprawdopodobieństwa.

A robienie rzeczy wysoce nieprawdopodobnych było jego specjalnością.

Mając przed sobą sześć miesięcy życia, Wintergreen z radosnym zapałem zabrał się do pracy. W bibliotece zawierającej kompendium wiedzy o raku wyszukał wszystkie znane przypadki remisji spontanicznej. Wprowadził do komputera dane dotyczące medycznej historii pacjenta, jego leczenia, wieku, płci, wyznania, rasy, orientacji politycznej, koloru skóry, narodowości, temperamentu, stanu cywilnego, wskaźnika zdolności kredytowej Duna & Bradstreeta, neuroz, psychoz i ulubionych gatunków piwa. Do komputera Harry’ego Wintergreena trafiły

kompletne charakterystyki każdej jednej nieuleczalnie chorej na raka istoty ludzkiej, która wyzdrowiała.

Wintergreen zaprogramował komputer na wyszukanie korelacji między dziesięcioma tysiącami odrębnych i różnych czynników a spontanicznymi remisjami. Jeśli choć jeden czynnik — wiek, zdolność kredytowa, ulubione jedzenie — będzie korelatywny ze spontaniczną remisją, spontaniczny czynnik zostanie wyodrębniony.

Wintergreen wybulił za komputer i oprogramowanie 100.000.000\$. Był to najlepszy cholerny komputer świata. W dwie minuty i 7.894 sekundy wykonał swoje zadanie. Krótko i wężłowato odpowiedział:

„Brak korelacji.”

Spontaniczne remisje nie korelowały z żadnym czynnikiem zewnętrznym. Nadal były spontanicznie; przyczyna pozostała nieznaną.

Człowiek mniejszego formatu byłby zdruzgotany. Człowiek bardziej konwencjonalny popadłby w osłupienie. Harrison Wintergreen wpadł w uniesienie.

Za jednym zamachem wyeliminował cały świat zewnętrzny jako czynnik odpowiedzialny za spontaniczną remisję. Wynikało z tego, że w jakiś tajemniczy sposób ludzkie ciało i/lub psychika zdolne są wyleczyć się same.

Wintergreen postanowił zeksplorować i podbić własny świat wewnętrzny. Rzucił się do apteki i przygotował straszliwą miksturę. W największą strzykawkę naciągnął co następuje: novocainę, morfinę kurarę, vlut, rzadką truciznę z Azji Centralnej, powodującą czasową ślepotę, olfaktorkainę, ściśle tajny neutralizator zapachu używany przez hodowców skunksów, tympanolinę, lek czasowo znieczulający nerwy słuchowe (używany początkowo przez senatorów—obstrukcjonistów), wielką dawkę benzydryny, kwas lizerginowy, psylocybinę, meskalinę, ekstrakt peyotu, siedem innych wysoce eksperymentalnych i nad wyraz nielegalnych halucynogenów, oko traszki i palec psa.

Wintergreen ułożył się na najwygodniejszej kanapie. Potarł alkoholem żyłę po wewnętrznej stronie łokcia i wstrzyknął sobie ten dekokt czarownicy.

Serce mu załomotało. Krew rwała, niosąc tajemnicze składniki do wszystkich części ciała.

Novocaina otepiła nerwy czuciowe, co do jednego. Morfina wyeliminowała wrażenie bólu.

Vlut odebrał mu wzrok. Olfaktorkaina odcięła zmysł powonienia. Tympanolina sprawiła, że zrobił się głuchy jak sędzia od wykroczeń drogowych. Kurara sparaliżowała go.

Wintergreen znalazł się sam we własnym ciele. Nie docierał do niego żaden bodziec zewnętrzny. Był w stanie absolutnej depriwacji sensorycznej. Opadło go nieodparte pragnienie pogrążenia się w stanie błogiej nieświadomości. Choć obdarzony stalową wolą, nie zachowałby przytomności bez wspomagania. Końska dawka amfetaminy nie pozwoliła mu zasnąć.

Był przytomny, świadomy, sam w świecie własnego ciała, odcięty od zewnętrznych bodźców, które mogłyby go zdekoncentrować.

Raptem, najpierw pojedynczo, potem seriami, jak ciosy wymierzane przez dobrego, szybkiego pięściarza wagi ciężkiej, zasypały go halucynacje.

Narządy zmysłów Wintergreena zostały wyłączone, ale ośrodki mózgowo, które odbierały wrażenia, nadal były aktywne. Na tychże ośrodkach skupił się straszny atak halucynacji.

Widział fantomy kolorów, kształtów, rzeczy bez nazwy czy formy. Słyszał przeraźliwe symfonie, upiorne echa i wycie. Milion niewiarygodnych zapachów przetaczał się przez jego mózg. Pozorny ból kłuł, szarpał, rwał i piłował, jakby jego całe ciało zostało amputowane. Ośrodki czuciowe w mózgu funkcjonowały jak potężny odbiornik radiowy nastawiony na puste pasmo — wypełnione bezsensownym szumem wzrokowym, słuchowym, węchowym i czuciowym.

Narkotyki otepiły mu zmysły. Dzięki amfetaminie nie tracił przytomności. Czterdzieści lat bycia Harrisonem Wintergreenem pozwalało mu zachować opanowanie i rozsądek.

Przez nieokreślony czas ślaniał się pod wpływem ciosów, po omacku badając to dziwne non—środowisko. Potem stopniowo, zrazu z wahaniem, ale później z coraz większą pewnością siebie, spróbował przejąć kontrolę. Jego umysł skonstruował nieprawdziwe, lecz użyteczne analogie działań, które nie były działaniami, stanów, które nie były stanami, danych zmysłowych niepodobnych do jakichkolwiek danych zmysłowych odbieranych przez ludzki mózg. Analogie, skonstruowane w swego rodzaju skalkulowanym szaleństwie przez jego podświadomość w celu brutalnego przekształcenia niepojętego w namacalne, umożliwiały mu również radzenie sobie z non—środowiskiem tak, jakby było to zwyczajne środowisko, przekładając mentalne zmiany na analogi działań.

Harry wyciągnął analogiczną rękę i dostroił metaforyczne radio, do wewnątrz, z dala od pustego pasma zewnętrznej strony wszechświata, w kierunku jeszcze nie używanego pasma własnego ciała, wewnętrznego świata, gdyż tylko to mogło uratować jego umysł przed chaosem.

Stroił, regulował, wymuszał, walczył, czuł, jak jego umysł napiera na powierzchnię rozdziału o grubości atomu. Tłukł w nią, w analogiczną przejrzystą membranę między umysłem a wewnętrznym światem ciała, a błona rozciągała się, przeżyła, wybrzuszała do wewnątrz, cieniła... i wreszcie pękła. Jak Alicja na drugą stronę lustra, tak jego analogiczne ciało przeszło przez membranę i stanęło po drugiej stronie.

Harrison Wintergreen znalazł się wewnątrz własnego ciała.

Był to świat cudów i ohydy, świat majestatyczny i niedorzeczny. Wintergreen, zanalizowany przez umysł jako ciało w prawdziwym ciele, przebywał wewnątrz rozległej sieci pulsujących arterii, przypominającej jakiś monstrualny system drogowy. Analogia skryształizowała się. Wintergreen jechał jedną z dróg. Nadęte worki zasilają ruch, pompując hormony, produkty przemiany materii, czynniki odżywcze. Białe ciała krwi wymijały go jak szalone taksówki. Czerwone krwinki sunęły jednostajnie niczym flegmatyczne mieszczuchy. Ruch narastał, „pojazdy” tłoczyły się, jak w godzinie szczytu w centrum miasta. Wintergreen jechał dalej, szukając, wypatrując.

Skręcił w lewo, przeciął trzy pasma i pomknął prosto ku węzłowi chłonnemu. I wtedy to zobaczył — skupisko białych krwinek przypominające karambol z udziałem dwunastu aut i pędzącego w ich stronę motocyklistę o chytrych oczach.

Czarny motocykl. Czarny skórzany kombinezon. Czarna, matowa twarz motocyklisty, tylko oczy czerwone jak krew. I błyszczące szkarłatne ćwieki z przodu i na plecach czarnej motocyklowej kurtki, układające się w napis: „Aniołowie Raka”.

Wintergreen z dzikim okrzykiem wcisnął gaz do deski i pomknął swoim analogicznym wozem po hipotetycznej autostradzie prosto za wyobrażonym motocyklistą, komórką raka. Brzdęk! Łup! Trzask! Samochód Wintergreena zderzył się z motorem i motocyklista eksplodował, przemieniając się w chmurę delikatnego czarnego pyłu.

Wintergreen przemierzał autostrady układu krążenia, śmigał wzdłuż arterii, włókł się w dół żył, przepychał cal po calu przez wąskie naczynia włoskowate, tropiąc ubranych w czerń motocyklistów, Aniołów Raka, rozgniatając ich w pył pod kołami...

I znalazł się w ciemnym wilgotnym lesie płuc, jadąc na śnieżnobiałym analogicznym rumaku, z wyobrażoną lancą czystego światła w dłoni. Dzikie czarne smoki o krwawoczerwonych ślepiach i ruchliwych czerwonych jęzorach prześlizgiwały się za sękatymi pniami wielkich drzew pęcherzyków płucnych. Święty Wintergreen spał wierzchowca, zniżył lancę i przeszywał syczące potwory jednego po drugim, aż wreszcie święty płucolas oczyszczony został ze smoków...

Szybował w wielkiej wilgotnej grocie, ponad nim wisały niewyraźne balony gigantycznych narządów, poniżej rozciągała się bezkresna przestrzeń lśniącej i śliskiej równiny otrzewnej. Zza osłony ogromnego bijącego serca wyskoczyła z rykiem formacja czarnych myśliwców, z insygniami „R” na skrzydłach i kadłubach.

Wintergreen zwiększył obroty silnika i rzucił się do walki. Krążył wokół bandytów, strzelał do nich z karabinów maszynowych i bandyci, najpierw pojedynczo, potem całymi gromadami, spadali na otrzewną i stawali w płomieniach...

Czarno-czerwoni przeciwnicy atakowali pod tysiącami postaci i w tysiącach przebrań.

Czarny, kolor zapomnienia, czerwony, kolor krwi. Smoki, cykliści, samoloty, stwory morskie, żołnierze, czołgi i tygrysy w naczyniach krwionośnych, płucach, śledzionie, klatce piersiowej i pęcherzu — Aniołowie Raka, wszędzie.

A Wintergreen staczał swoje analogiczne bitwy w równej liczbie wcieleń, jako kierowca, rycerz, pilot, nurek, żołnierz, mahout, z ponurą i dziką satysfakcją zaścielając połę bitewne swojego ciała czarnym pyłem pobitych Aniołów Raka.

Walczył i walczył, zabijał i zabijał, i wreszcie...

Wreszcie znalazł się po kolana w morzu soków trawiennych uderzających z pluskiem o ściany wilgotnej jaskini swojego żołądka. A w jego stronę przemykał na chitynowych nogach potworny czarny rak o krwawoczerwonych oczach, opasły, pękaty, pierwotny.

Chrzęszcząc, zgrzytając, rak pędził przez żołądek. Wintergreen przystanął, uśmiechnął się wilczo, skoczył wysoko w powietrze i wylądował obunóż na twardym czarnym pancerzu.

Jak wysuszona na słońcu tykwa, krucha, sucha i pusta, rak zapadł się pod jego ciężarem i rozpadł na milion zakurzonych kawałków.

I Wintergreen został sam, wreszcie sam, zwycięski, rozgromiwszy wszystkich Aniołów Raka, co do jednego.

Harrison Wintergreen, sam we własnym ciele, zwycięski i znów szukający nowych światów do podbicia, czekał, aż narkotyki przestaną działać, czekał na powrót do świata, który zawsze był jego ostrygą.

Czekał, czekał i czekał...

Zajrzyjcie do najlepszego sanatorium świata, a znajdziecie tam Harrisona Wintergreena, który postanowił zostać — i został — Obrzydliwie Bogaty, Harrisona Wintergreena, który Czynił Dobro, Harrisona Wintergreena, który Zostawił Odciski Swoich Stóp na Piaskach Czasu, Harrisona Wintergreena, katatoniczne warzywo.

Harrisona Wintergreena, który wszedł do wnętrza własnego ciała, by stoczyć bitwę z Aniołami Raka, i wygrał.

I nie może wyjść.

Tłum. Maria Gębicka-Frać